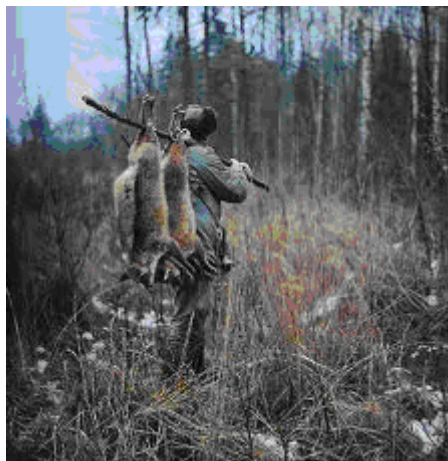


Ukryta żądza zabijania

Ponad stutysięczna armia wyposażona w nowoczesną broń palną dybie na życie swobodnie żyjących zwierząt na naszych polach i w lasach.



Pozorowane szlachetne intencje i rzekomo szczytne zamiary bardzo często wykorzystywane są przez sprytnych demagogów, jako, swoisty kamuflaż, dość skutecznie kryjący prawdziwe motywy, skłaniające ich do zachowań, których cywilizowany człowiek powinien się wstydzić. Jest to zjawisko w życiu społecznym tak powszechne, że formowanie listy instytucjonalnych, choćby podmiotów praktykujących tę swoistą hipokryzję miałyby się z celem. Natomiast nie od rzeczy będzie posłużyć się przykładem potężnej społecznej korporacji, która pod zafałszowaną przykrywką altruizmu ukrywa wstydliwie żądzę zabijania.

Polski Związek Łowiecki pyszni się w swym statucie, że jest zrzeszeniem osób fizycznych i prawnych czynnie uczestniczących w rozwoju populacji zwierząt łownych oraz działających na rzecz ochrony przyrody. Pięknie brzmi – prawda? Nic dodać i ująć, a jednak ciśnie się człowiekowi na usta zasadnicze pytanie. Czemu to do realizacji tych szlachetnych celów członkowie owego związku potrzebują kilkaset tysięcy dubeltówek, sztucerów i noży? Ten potężny arsenał długiej, śmiertelnej broni stawia PZŁ w rzędzie największych organizacji paramilitarnych, liczniejszej od wielu państwowych służb mundurowych.

Mimo podejmowania wielu działań dla kształtowania pozytywnego wizerunku, mniej się ludziom myśliwi kojarzą ze statutowym altruizmem, a bardziej z groźną, uzbrojoną po zęby formacją rządzącą krwawymi happeningami na łonie natury. Dotyczy to szczególnie ludzi mieszkających w okolicach, gdzie koła myśliwskie urządzają słynne polowania z nagonką. Pamiętam taką rzeź sprzed lat. Wieś rzadko zabudowana ciągnęła się przy drodze biegnącej przez kompleks pól uprawnych otoczony niewielkimi lasami. Wynajęci za drobne pieniądze, nieletni chłopcy płoszyli kołatkami i okrzykami zwierzyne, wyganiając z lasu w stronę wsi.

Wystrojeni w rytualne uniformy strzelcy zasadzili się wzdłuż biegnącej przez wieś drogi w oczekiwaniu na ofiary. Prerażone zające przemykały między wiejskimi zagrodami, patrząc z nadzieją na majaczące w oddali, postrzępione jęzory wychodzących w pola zagajników. Nie wiedziały, że biegną wprost pod lufy myśliwskich strzelb. Huk wystrzałów targał listopadowym powietrzem. Większość uciekających w popłochu zwierząt od razu padała pokotem na obsiane żytem pola. Inne miały się jak oszalałe w przedśmiertelnym tańcu, biegnąc bezładnie po równinie, a tylko nieliczne osiągały zbawczą linię lasu.

Z jednej z zagród wy dostał się nieduży, kudłaty pies. Nagła kanonada odebrała mu instynkt samozachowawczy. Wystraszony biegł w kierunku stojącego nieopodal strzelca. Padł strzał. Piesek zaskomlał przeraźliwie i zaczął trzepać się gwałtownie, kilka metrów od ogrodzenia posesji. Ten swoisty festiwal zabijania obserwowali z ukrycia mieszkańcy wsi. Po zakończeniu akcji strzelecka brać ucztowała tego pod lasem, wznosząc toasty za łowiecki sukces. Z dumą patrzyli na trofea w postaci kilkudziesięciu skrwawionych zajęcy ułożonych w rzędy na leśnej murawie. Zabrzmiął butnie myśliwski róg obwieszczający wielkie zwycięstwo nad bezbronną zwierzyną.

Mieszkający w okolicy strażnik łowiecki, uczestnik tego sławetnego polowania czerpał wodę do picia z własnej studni. Tak było do dnia, kiedy zauważył w niej strzępy zwierzęcej sierści. Podczas sondowania wydobyto z głębi pitnego źródła rozkładające się zwłoki psa, tego samego, który stracił życie z ręki myśliwego. Dziś nie te czasy. Zniknęły nie tylko wiejskie studnie. Na próżno by też, szukać hasających w zbożach zajęcy i szarych szybko biegających kuropatw. Przybyło za to myśliwych. Według różnych źródeł jest ich obecnie w kraju od stu do stu pięćdziesięciu tysięcy i stanowią zamkniętą kastę, niedostępną dla zwykłego obywatela.

Cała ta armia wyposażona w nowoczesną broń palną dybie na życie zwierząt żyjących jeszcze swobodnie na polach i w lasach. Za nimi skrada się chytrze o wiele liczniejsza rzesza kłusowników nazywanych też rapcikami. Ci częściej niż strzelbą posługują się sidłami i wnykami. Kłusownicy zadają ból naszym braciom mniejszym z chęci zysku, niekiedy też z życiowej konieczności. Myśliwi zabijają dla przyjemności, z premedytacją planują uśmiercanie, zasadzając się na specjalnie wybudowanych w lasach ambonach. Strzelając z ukrycia nie dają zwierzynie żadnych szans na uratowanie życia.

Zastanawiające jest to, że pierwotnemu instynktowi podlegają ludzie z tak zwanej wyższej półki. Krwawa zabawa zaspokaja potrzebę ekscytującej rozrywki leśniczym, przedsiębiorcom, dygnitarzom państwowym, a nawet ludziom kultury i nauki oraz licznej grupie rencistów i emerytów, którzy niepomni na dolegliwości podeszłego wieku wyprawiają się w pola i lasy z nadzieją na zaspokojenie prymitywnych instynktów, mających swe źródło u początków ewolucji rodzaju ludzkiego. Najgorsze w tym wszystkim jest przekonanie uczestników tych krwawych łaźni, że udział w nich jest swoistą formą nobilitacji, przynależności do uprzywilejowanej elity współczesnego społeczeństwa

Autor: Włodzimierz Dajcz

Artykuł pobrano ze strony eioba.pl